

Kilka uwag po obchodach stulecia niepodległości



RAFAŁ STOBIECKI

Kilka uwag po obchodach stulecia niepodległości

*Obowiązkiem historyka, w ogóle każdego obywatela jest mówić o tym,
o czym mówić nie wypada.*

(Karol Modzelewski)

Jako historyk i jako obywatel z uwagą obserwowałem zakończone niedawno obchody stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Mówiąc najbardziej eufemistycznie, nie nastrajają one optymistycznie. Mizeria obchodów państwowych, ograniczonych do uroczystości przed Grobem Nieznanego Żołnierza, słynnego marszu, a w zasadzie dwóch odrębnych manifestacji, w których przedstawiciele władz w wyniku zawartego w ostatniej chwili „kompromisu”

maszerowali razem ze środowiskami narodowymi, oraz wspólnego śpiewania Mazurka Dąbrowskiego, aż „kłuła w oczy”. Było mi smutno i wstyd. Jak trafnie zauważył jeden z młodych publicystów, nawet nieudolna i dziś w większości słusznie wyszydzana Polska Rzeczpospolita Ludowa potrafiła na tysiącletnie państwo polskiego zbudować tysiąc szkół, a III RP może zaoferować najwyżej brak zamieszek na kilkudziesięciotysięcznym marszu narodowców. Ktoś inny napisał, że z okazji stulecia odzyskania niepodległości postanowiliśmy zorganizować wielki pokaz cech narodowych, przez które tę niepodległość straciliśmy.

Jedną z nielicznych imprez, które wymykały się tradycyjnej i nudnej formule obchodów, okazały się Łódzkie Igrzyska Wolności, zorganizowane pod hasłem Bitwa o historię przez środowisko związane z pismem i fundacją „Liberte!”, którym od lat szefują Błażej Lenkowski i Leszek Jażdżewski. Zgromadziły one wiele indywidualności ze świata kultury, nauki i polityki (kolejność nieprzypadkowa) oraz kilkutysięczną publiczność. W trakcie wykładów, spotkań autorskich i paneli czuć było atmosferę krytycznego namysłu nad fenomenem niepodległości, zaproponowano włączenie w dyskurs rocznicowy nowych tematów (dzieje kobiet czy historia LGBT). Dyskutowano o edukacji szkolnej w dziedzinie historii, stosunkach polsko-żydowskich i polsko-ukraińskich, polityce historycznej, współczesnych obliczach patriotyzmu. I choć do mediów przebiły się przede wszystkim wystąpienia celebrytów politycznych (Donald Tusk, Robert Biedroń) i części reprezentantów świata filmu (Agnieszka Holland), to pozostało wspomnienie czegoś ważnego, oryginalnego i inspirującego.

Jakie treści historyczne niosły ze sobą oficjalne, państwowe uroczystości związane z 11 Listopada, w dużym stopniu powielane w mediach, różnych zresztą orientacji? Ryzykując pewne uproszczenie, można powiedzieć, że wiązały się one z trzema korespondującymi ze sobą przekazami.

Po pierwsze, niepodległość zawdzięczamy Józefowi Piłsudskiemu. W tym sensie nie miała racji wspomniana Agnieszka Holland, gdy oznajmiła w Łodzi, że „Piłsudski został wyrugowany przez Lecha Kaczyńskiego, musiał się posunąć w krypcie, a teraz na placu swojego imienia”. Figura Piłsudskiego jako ojca i matki niepodległego państwa zdominowała przekazy medialne zarówno te tradycyjne, jak i te związane ze światem mediów elektronicznych. W jakimś sensie potwierdza to krążącą anegdotę o tym, czym jest PiS – „grupą rekonstrukcyjną sanacji z Żoliborza”. Zauważalne było to, że w cień zostali usunięci inni bohaterowie niepodległości – Roman Dmowski, Ignacy Paderewski, Wojciech Korfanty czy Ignacy Daszyński. Co prawda przywódca socjalistów po wielu latach poświęcono odsłonięty w Warszawie pomnik, ale nie zmienia to faktu, że ma on wyjątkowego pecha dziejowego. Najpierw krytykowany przez samego Piłsudskiego, potem wyrugowany z oficjalnej pamięci i historiografii przez prawie cały okres PRL, na krótko „zrehabilitowany” w latach 80. ubiegłego wieku, dziś wrócił jako patron głównie postkomunistycznej lewicy. Owo związanie rocznicy niepodległości z postacią Marszałka, a jednocześnie z podpisaniem zawieszenia broni na Zachodzie skutkowało także tym, że zupełnie pominięto inne daty symbolizujące początki II Rzeczypospolitej: 7 listopada – powstanie rządu ludowego, 14 listopada – powierzenie Piłsudskiemu funkcji tymczasowego naczelnika państwa, czy 27 grudnia – wybuch powstania

wielkopolskiego. Na przykład rocznica powstania rządu lubelskiego została przedstawiona jedynie w jednym z dzienników TVN, całkowicie zaś przemilczały ją inne telewizje, w tym TVP. Gdzieś wyparowały tak żywe jeszcze w II Rzeczypospolitej spory o zasługi dla niepodległości (jak wiemy, data 11 listopada stała się świętem państwowym dopiero w 1937 r. i decyzja ta była mocno krytykowana przez środowiska związane z Narodową Demokracją).

Nową wartością, którą warto odnotować, było natomiast zauważenie po raz pierwszy na taką skalę wkładu kobiet w dzieło odzyskania niepodległości. Periodyki różnych orientacji politycznych, portale internetowe, liczne wydawnictwa przypominały bohaterki akcji pod Bezdanami – Aleksandrę Szczerbińską, Zofię Prystorową, czy postaci pierwszych posłanek do Sejmu Ustawodawczego, m.in. Gabrielę Balicką, Zofię Moraczewską czy Irenę Kosmowską.

Po drugie, dominujący przekaz zupełnie zamazywał to, co łączy się z procesualnym wymiarem historii. Można było odnieść wrażenie, że niepodległość wybuchła nagle w listopadzie 1918 r. i była zasługą przede wszystkim Polaków. Jej odzyskanie prezentowano jako rodzaj „cudu”, który nastąpił nie wiadomo dlaczego. W rocznicowej wersji historii zabrakło miejsca, by pokazać rolę takiego, a nie innego przebiegu I wojny światowej, znaczenie jednoczesnej klęski trzech zaborców czy rewolucji w Rosji.

Heroiczna z ducha wizja przeszłości zmarginalizowała jej zbiorowy wymiar. Niepodległość okazała się rezultatem przede wszystkim wydarzeń politycznych i walki, głównie Legionów, w daleko mniejszym stopniu armii Józefa Hallera czy jednostek wojskowych tworzonych w Rosji. Nie udało się pokazać ani różnych dróg prowadzących do odrodzenia państwa, ani jej aspektów społecznych, kulturowych czy gospodarczych.

Po trzecie, forsowany przez władze i media obraz wydarzeń miał wybitnie polonocentryczny charakter. Można było wysnuć wniosek, że nikt poza Polakami nie cieszył się w 1918 r. z odzyskania niepodległego państwa. Zapomnieliśmy o Litwinach, Łotyszach i Estończykach, nie chcieliśmy pamiętać o powstaniu niepodległej Czechosłowacji, Jugosławii czy Finlandii. A to przecież w większości nasi sąsiedzi, byli i obecni. Niewiele pisało się o ujawniających się pod koniec wojny, częściowo zrealizowanych, niepodległościowych dążeniach Ukraińców i Białorusinów (w gronie periodyków społeczno-kulturalnych chlubnym wyjątkiem był „Tygodnik Powszechny”).

Utrwaliło się przekonanie, że Polska jest (była?) jakąś wyspą w Europie Środkowo-Wschodniej, izolowaną od reszty, dla której historia stworzyła specjalne prawa, mające legitymizować jej wyjątkowość. W taką polonocentryczną wizję historii wpisał się także Instytut Pamięci Narodowej. W ramach ogłoszonego konkursu „Sto książek na stulecie niepodległości” jego władze postanowiły wznowić tylko jedną pracę, o jakże charakterystycznej wymowie. Jest nią Duch dziejów Polski (pierwsze wydanie 1917) Antoniego Chołoniewskiego. Abstrahując od znamienego faktu, że tym samym władze Instytutu uznały, iż żadna inna praca polskiego historyka wydana po 1918 r. nie zasługuje na taki zaszczyt, należy zwrócić uwagę co innego. Trudno nie odnieść wrażenia, że przeniknięte duchem megalomanii narodowej (do dziś używamy przecież terminu „chołoniewszczyzna” jako synonimu bezkrytycznego

podejścia do narodowej przeszłości), poczucia szczególnej misji narodu polskiego i jego uniwersalnych przymiotów, pełne nieuprawnionej apologii polskiej wolności, dzieło to dobrze koresponduje z forsowaną przez obóz „dobrej zmiany” polityką historyczną. Polityką odrzucającą „pedagogikę wstydu”, krzewiącą z uporem godnym lepszej sprawy jedynie poczucie dumy z narodowej przeszłości, widzącej w Polsce wzór dla innych narodów europejskich. Pisząc swoją książeczkę w 1917 r., Chołoniewski był pełen dobrych intencji, w dużym stopniu tłumacząc go okoliczności powstania pracy i chęć zakwestionowania, szkodliwych jego zdaniem dla polskich aspiracji niepodległościowych, też tzw. krakowskiej szkoły historycznej (Walerian Kalinka, Józef Szujski, Michał Bobrzyński). Ale dziś? Komu i czemu ma służyć ta z gruntu anachroniczna historiozofia? Chyba tylko utrwalaniu przekonania, jacy to byliśmy na przestrzeni dziejów wspaniali, tolerancyjni i wyjątkowi. To wizja patriotyzmu nie tylko rodem z czytanek dla dzieci i młodzieży, lecz także głęboko naiwna i społecznie szkodliwa.

Zacząłem ten tekst cytatem z wypowiedzi nestora polskich historyków – Karola Modzelewskiego. Jego słowami chciałbym także zakończyć: „wstyd jest objawem uczuć patriotycznych. Jeśli uwiera mnie coś, co uczynili Polacy, to znaczy, że łączy mnie z nimi więź. Gdyby oni nie byli moi, to ja bym może ich zachowaniem gardził, może bym potępiał, ale bym się nie wstydził. Za rodaków wstydzi się tylko patriota” *.

Przypisy:

* *To nie jest kwestia hematologii. Z profesorem Karolem Modzelewskim rozmawia Kalina Błazejowska, „Pismo” 2018, nr 11.*

Korekta językowa: Beata Bińko

0 kompetentnym patriotyzmie



SŁAWOMIR ŁUKASIEWICZ

0 kompetentnym patriotyzmie

Rapperswil jest bardzo dobrym miejscem do rozważań o patriotyzmie. O polskim patriotyzmie szczególnie, ale uczynmy na nasze potrzeby z tego kategorię uniwersalną – o patriotyzmie każdego człowieka. Rapperswil ma pewne szczególne cechy. Po pierwsze, jest z daleka od Polski. A więc daje pewien neutralny grunt i konieczny dla Polaka dystans, aby na rzecz spojrzeć. A jednocześnie Rapperswil jest pełen polskich śladów i manifestacji patriotyzmu. Pełne ich jest znakomite muzeum, o którego egzystencję cały czas toczy się batalia. I toczą ją Polacy, dla których egzystencja muzeum stanowi właśnie o istocie ich patriotyzmu. Czy jest to punkt zbieżny z punktem widzenia instytucji, które mogłyby tę egzystencję zagwarantować – tutaj można mieć pewne wątpliwości. Ale nie zagłębiajmy się w dodatkowy problem, jakim może być wsparcie instytucji dla działań patriotycznych. Koniec dygresji. Wreszcie Rapperswil to także miejsce, gdzie stoi kolumna barska – symbol umiłowania wolności w czasach, kiedy ta wolność staje się zagrożona. Znajdziemy tu pamiątki i po Tadeuszu Kościuszcze, i po Janie Nowaku-Jeziorańskim, wiele historycznych świadectw działania na rzecz Polski.

To wszystko to ważne zewnętrzne ślady i symbole patriotyzmu, formy pamięci o patriotyzmie naszych przodków, o patriotyzmie, który niejednokrotnie wiązał się z poświęceniem. Czymże jednak jest ów patriotyzm, gdzie szukać jego źródeł, jak go wyrażać, wreszcie: czy jest tylko jeden rodzaj patriotyzmu? I tutaj Rapperswil znowu przychodzi z pomocą, tym razem za sprawą przechowywanych archiwów. Są to archiwa znakomite. Polskich patriotów, którzy działali na rzecz Polski w świecie. Ale aby to czynić, najpierw przeszli testy, których nikt z nich się zapewne nie spodziewał. Skupię się tutaj na dwóch osobach, chociaż pewnie można byłoby tę listę wydłużyć. Chociażby o Zbigniewa Rapackiego – uczestnika powstania warszawskiego, doradcy najważniejszych francuskich polityków w latach zimnej wojny, ale również doradcy prymasa Stefana Wyszyńskiego, gdy ten wyjeżdżał na Zachód. Czy

znakomitego pisarza Jerzego Stempowskiego, którego przepastna spuścizna trafiła właśnie tutaj. Jednak my skupimy się na ojcu Józefie Innocentym Marii Bocheńskim i Krystynie Marek. Pierwszą z tych postaci być może przynajmniej część osób zna i kojarzy – dominikanin, znakomity logik, profesor i przez krótki czas rektor uniwersytetu we Fryburgu, znakomity znawca filozofii marksistowskiej i niestrudzony jej krytyk. Przygotowany przez niego przewodnik po światowym komunizmie, liczący 8 tys. stron i gromadzący teksty 60 autorów ze świata, ukazał się w setkach tysięcy egzemplarzy – rzecz dzisiaj niewyobrażalna w przypadku książki naukowej. W jego biografii odnajdujemy również piękny szlak bojowy w czasie II wojny jako kapelana biskupa połowego Wojska Polskiego abpa Józefa Gawliny, a także świadka bitwy pod Monte Cassino. Jednak Krystyna Marek? Zakładam, że dla współczesnego czytelnika imię to brzmi zupełnie głucho. Nie miała życiorysu tak barwnego jak ojciec Bocheński – zapalony automobilista i pod koniec życia także lotnik-amator. Dla Krystyny Marek wojna zaczęła się od wędrówki przez Rumunię, Francję i północną Afrykę do Anglii. Tutaj spędziła większą część wojny, nabierając sprawności w językach obcych i sprawach konsularno-dyplomatycznych, myśląc w przyszłości o karierze dyplomaty. Jednocześnie prowadziła na potrzeby polskiego rządu kampanię uświadamiającą brytyjskim robotnikom, jak wygląda sytuacja Polski i jak wielki wysiłek ponoszą Polacy, walcząc w tej wojnie. W ocenie ówczesnego polskiego rządu wykonywała tę pracę znakomicie. Potem studia w Genewie, dzięki którym stała się prawdopodobnie jednym z najlepszych polskich specjalistów od prawa międzynarodowego – jeszcze do tego na chwilę wrócimy. I wreszcie czas „Solidarności” – intensywna współpraca z biurem w Brukseli, kierowanym przez Jerzego Milewskiego, dzięki czemu powstał raport Międzynarodowej Organizacji Pracy – znakomite dokonanie obnażające ówczesną sytuację w Polsce przez międzynarodową organizację zajmującą się sprawami robotników – to też wypadnie nam jeszcze skomentować. Obie biografie można byłoby opowiadać w szczegółach jeszcze długo, ale poprzestańmy na tym – to wystarczy, aby zasygnalizować, że nie można nic tym życiorysom zarzucić, jeśli chodzi o ich egzamin z patriotyzmu. A każde z nich definiowało ten patriotyzm na inny sposób. Zacznijmy od ojca Bocheńskiego. W filmie, który można obejrzeć w Internecie, zatytułowanym „Mistrz życia” i zrealizowanym jeszcze w 1987 roku, Bocheński mówił o patriotyzmie mniej więcej tak: patriotyzm nie jest zabobonem, ale z nim związane są dwa zabobony. „Jeden z nich to jest nacjonalizm, który każe nie tylko kochać swój kraj, ale robi z niego coś wyłącznie jedyne i każe odnosić się z pogardą czy nawet nienawiścią do innych – to nie jest to samo, co patriotyzm. A drugi zabobon, bardzo dziś rozpowszechniony, moim zdaniem dużo gorszy, to jest przeciwieństwo tego pierwszego. To jest pogląd, że człowiek nie ma prawa kochać swoją ojczyznę bardziej niż inne. [...] Jest rzeczą jasną, że mamy obowiązek kochać wszystkich ludzi, ale [...] gdy jesteśmy zmuszeni do wyboru, powinniśmy dać pierwszeństwo swojemu rodakowi. Otóż dzisiaj doszło do tego, że każdy, kto ośmieli się powiedzieć, że bardziej woli Polaka od powiedzmy człowieka z Ekwadoru czy z Wietkongu, mówi się, że jest rasistą. [...] Miłość do swoich rodaków nie jest czymś złym, jest czymś dobrym. Dopiero tam, gdzie się innych nienawidzi, nie ma się dla nich żadnych względów, to zaczyna być rzecz zła”. Konkluzja: zabranianie własnym rodakom miłości ojczyzny jest groźnym zabobonem. Ten nieco długi fragment wymagałby oczywiście komentarza. Sporo takich komentarzy można znaleźć również w Internecie, m.in. dotyczących ewolucji poglądów

Bocheńskiego na pojęcie nacjonalizmu, który przed wojną dopuszczał. Niestety głosy te ignorują prostą logiczną prawdę wypowiedzianą przez tego głęboko chrześcijańskiego myśliciela: miłość ojczyzny, miłość rodaków jest czymś dobrym, jak miłość bliskich, ale nienawiść obcych jest czymś złym. Koniec, kropka. Jest to myśl głęboko chrześcijańska i przywołana została nie tak dawno przez polski episkopat w ważnym dokumencie na temat patriotyzmu. Tyle, że ta myśl Bocheńskiego może budzić sprzeciw zarówno tych, którzy mają obecnie „alergie” na patriotyzm, jak i tych, którzy patriotyzmu używają jako oręża politycznego. A przecież myśl logika jest prosta i pozwala przywrócić odpowiednie znaczenie słowom. To bardzo istotne we współczesnej debacie.

A teraz Krystyna Marek. Na początek wyobraźmy sobie dwudziestopięcioletnią dziewczynę, która w wrześniu 1939 roku opuszcza ukochany Kraków i zaczyna do niej docierać, że może już nie być jej dane do niego szybko wrócić. Dziewczynę solennie wykształconą w polskich i szwajcarskich szkołach. W jej dzienniku, zachowanym właśnie w Rapperswilu, pod datą 9 września 1939 r. (sobota), czytamy: „Przypominają mi się rozmowy z Jerzym Stempowskim i Tadeuszem [bratem – S.ł.] o wstydlivości. I w związku z tym nasuwa mi się, że u Wyspiańskiego nie pada słowo Ojczyzna. Powinno być to słowo na co dzień zakazane. Niech go nie mówią profani, niech nie obrzydzają go dzieciom szkolnym – niech je mówią ludzie samotni cicho, cichutko, jak się może w najgłębszym zawstydzeniu mówi bliskiemu człowiekowi, że się go kocha”. To obraz zupełnie inny, niepozbawiony emocji, powiedzielibyśmy – niewyrozumowany, jak u Bocheńskiego. Jeśli jednak zestawimy to chociażby z opisanymi wyżej fragmentami życia autorki słów, to czy można jej zarzucić, że nie była patriotką? Czy postawa, w której świadomie, czy pod wpływem literatury unikała patriotycznych wzniosłości, ale miłości ojczyzny dowodziła życiem, nie jest godna szacunku? Czy wykonywanie dobrze swoich obowiązków w czasie wojny, świetna edukacja i pozycja w świecie nauki nie są wystarczającym przejawem patriotyzmu? Dodajmy do tego w przypadku Krystyny Marek niesamowitą skromność – pewnie obruszyłaby się za te słowa. Kiedy otrzymywała w 1957 roku nagrodę Stowarzyszenia Polskich Kombatantów za znakomitą książkę traktującą o uznawaniu państw (ich istnienia i kontynuacji) w prawie międzynarodowym, pisała do gen. Kukieła i członków stowarzyszenia o dylemacie, który towarzyszył jej pracy – zbieżności jej badań z zapotrzebowaniem wynikającym z sytuacji rządu polskiego na uchodźstwie. I pisała tak: „Nie będę ukrywała niebezpieczeństw takiej zbieżności. Może na niej łatwo ucierpieć albo uczciwość intelektualna, albo wola służenia swojemu krajowi. Mogę dzisiaj ze spokojnym sumieniem stwierdzić, że konflikt taki został mi oszczędzony. Moje opracowanie sprawy polskiej nie zostało okupione ani pogwałceniem uczuć, ani sacrificium intellectus. Nie jest moją rzeczą sądzić, czy opracowanie jest dobre i przekonywujące. Jest moim prawem twierdzić, że jest uczciwe”. Czyż owa uczciwość, na której jej tak zależało, nie jest jednocześnie oznaką patriotyzmu? Zagrożenie, które przeczuwała, było jasne – napisanie książki pod tezę, np. że rząd emigracyjny jest legalny, a ten w Warszawie nie – nie sprawiłoby jej przecież żadnej trudności. Tyle, że to byłby poziom propagandy. Przeprowadzenie badania (dokumentacji) i rozumowania, które dało taki wynik – to była postawa uczciwa. Obawa, która nią targała, podpowiadała jej, że nie może znać wyniku badania zawczasu. A zatem i wynik badania mógł być inny... Wreszcie sprawa jej pomocy dla „Solidarności” – również tutaj jej postawa była zaskoczeniem. Po sukcesie

postępowania przed Międzynarodową Organizacją Pracy padły propozycje uhonorowania jej. Odmówiła. Do Anieli Mieczysławskiej pisała 19 VII 1984 roku: „Merytorycznie: zrobiłam dla wspólnej sprawy znacznie mniej, niż mi się to przypisuje. Za ten mój wkład zostałam więcej niż sownie wynagrodzona jakże dobrymi słowami Pana Prezydenta [Kazimierza Sabbata- S.Ł.], kwiatami od »Solidarności« i przedrukami moich prac w prasie podziemnej[chodziło m.in. o jej tekst o Jałcie – S.Ł]. Jest to wszystko więcej, niż mi się należy i na tem już musimy poprzestać”. Sztuka skromności, człowieka, który zrobił to, czego inni nie mogliby uczynić – z braku wiedzy i kompetencji do przeprowadzenia takiej akcji. Ile dla wyrażenia patriotyzmu może znaczyć właśnie spokojne, racjonalne myślenie jak o. Bocheńskiego czy skromność i budowanie swoich kompetencji, których w określonym momencie można mądrze użyć.

I wreszcie pytanie na koniec: jak ta rapperswilska lekcja patriotyzmu ma się do współczesnych manifestacji patriotycznych? Czy dla kogoś obecnie opisane wyżej postawy mogą wydać się atrakcyjne? Liczę, że tak. I mam nadzieję, że mamy w Polsce wielu patriotów, którzy nie afiszując się ze swoim patriotyzmem, gdy będzie tego potrzeba, po prostu go okażą. Oby ci, którzy dzisiaj tak żywo o nim rozprawiają, mieli również czym się wykazać w chwili próby. A nie musi to być próba krwi.

Rapperswil, 4 sierpnia 2017 r.